

Jadwiga Mizińska

Bardzo subiektywna relacja z debaty nad książką Grażyny Żurkowskiej *Epistemologia po Wittgensteinie.* *Nowa perspektywa epistemologiczna Jana Szrednickiego*

*Очень субъективный отчет о дискуссии по поводу книги
Гражины Жуковской „Эпистемология после Витгенштейна.
Новая эпистемологическая перспектива Яна Сжедницкого”*

1.

Pojęcie wzniosłości zdaje się być zarezerwowane wyłącznie do wybranych obszarów ludzkich przeżyć. Nie razi, gdy jest odnoszone do sztuki, do religii czy też do pewnych wyjątkowych wydarzeń historycznych. Mogą się jednak zdarzyć również wzniosłe przeżycia intelektualne. Choć bywają rzadkie, polegają na odczuciu, że oto uczestniczy się w czymś, co stanowi obcowanie z bezinteresowną myślą, to jest – z myślą, która zaprzątnięta jest sama sobą: swoją własną poprawnością, rzetelnością, spójnością a przy tym – celowaniem w rzecz istotną. Istotną ze względu na doniosłość odnajdowania się człowieka w świecie, odnośzenia się człowieka do świata w ogólności, nie zaś jedynie w stosunku do takiej czy innej, przelotnej w końcu sytuacji.

Ostatnie czasy wybitnie nie sprzyjają takowemu „myśleniu dla myślenia”. Radykalne przemiany ustrojowe, transformacje ekonomiczne, polityczne, kulturowe i obyczajowe, jakie przypadły w udziale naszej generacji, nagłą, ażeby myślenie wszelkie, w tym też i filozoficzne, znalazło się wyłącznie w ich obsłudze. Od intelektualistów społeczeństwo oczekuje – i z naciskiem wymaga – aby wydawali oni natychmiastowe werdykty w spornych kwestiach, a tym samym – opowiadali się po tej czy innej stronie zaognionego zazwyczaj sporu, a najczęściej kłótni. Jest to wszakże niebezpieczna zasadzka: obojętne, czy ogłoszone przez danego intelektualistę stanowisko będzie przychylnie czy nieprzychylnie dla ludzi politycznej praktyki, oni i tak poczytają go za pozostającego na jej usługach. Będą go albo poklepywać po ramieniu, albo obrzucać inwektywami. Sami nastawieni wyłącznie *pragmatycznie* i – na ogół – *interesownie*, nie są bowiem w stanie wyobrazić sobie, że myślenie można uprawiać dla niego samego, dla czystej pasji i radości poznawania i dociekania.

Czasy dzisiejsze zdają się być całkowicie antykartezjańskie w tym sensie, że lekceważą definicję człowieka jako *Ego Cogito*. Pod wpływem ekspansji nauk

biologicznych i medycznych, zwłaszcza zaś socjobiologii, rozpisują każdego z nas na zbiór „egoistycznych genów” oraz nadbudowanych nad nimi wiązek „emocji”, „stresów”, „frustracji” itp. Zdeterminowana nimi istota po prostu wykonuje pod ich batutą określone ruchy, nie poczuwając się do konieczności (ani nawet potrzeby) ich wyjaśnienia czy usprawiedliwiania. Nie tylko przed kimś innym, również przed samą sobą. Musi więc dochodzić do ostrych i bolesnych starć osób, którym odmienne „geny”, w tym swoiste „geny polityczne”, dyktują przeciwstawne zachowania i poglądy. Nie ma wtedy miejsca na dialog, jako że wymaga on wysłuchiwanie rozmówcy, wsłuchiwanie się w to, co *on* ma na myśli, o co rzeczywiście *jemu* chodzi. Dialog, debata, dyskusja – owe wypracowane przez wieki formy komunikowania się i wzajemnego rozumienia, zostały obecnie odrzucone na rzecz ekspresji własnych roszczeń. A ponieważ roszczenia najczęściej się wykluczają, przeto w publicznych wypowiedziach dominuje język pretensji i nienawiści. Ów osławiony *hate speech* ma tendencję do przenoszenia się również na teren filozofii. Także i w jej dominium przeważa dziś najczęściej model zwalczania się stanowisk, czy też raczej szkół, do których przypisują się poszczególni filozofowie. Ów „szkolny” wzorzec sprawia, iż mało kto odważa się po bachtinowsku *myśleć bez alibi*, to znaczy – w swoim własnym tylko imieniu. Na ogół chowamy się za „wielkie nazwiska”, sądząc, iż z tego już tytułu splota na nas splendor Kanta, Husserla, Heideggera, Wittgensteina, Poppera czy innego „filozoficznego idola”. W pracach doktorskich, a nawet habilitacyjnych, nie broni się autorskiej tezy, lecz rozwija i krytykuje poglądy uznanych i zadekretowanych „wielkości”. Ich ocena przez recenzentów jest też w znacznym stopniu uzależniona od tego, czy oceniany utrafił w osobiste preferencje teoretyczne recenzenta, a zwłaszcza – czy danego klasyka zinterpretował w podobnym co on duchu. W efekcie zanika myślenie o *filozoficznych problemach*, wyparte przez wojnę filozoficznych partykularyzmów. Jej celem, zgoła nieskrywanym, jest walka o „filozoficzny rząd dusz”. Musi to prowadzić do upodobnienia się owych walk filozoficznych do walk politycznych, których synonimem jest ogłuchnięcie na głos inaczej myślącego.

Rzecz oczywiście nie w tym, aby pozbawić filozofów prawa do angażowania się we wszelakiego rodzaju „stronictwa intelektualne”, ale w tym, by nakłaniać ich do samoograniczenia się w dążeniu do deprecjonowania, czy wręcz moralnego unicestwienia przeciwników. Wiadomo wszak, że już u swych początków filozofia była przestrzenią różnorodności. Jak tylko jej ojciec, Tales, ogłosił, że wszystko powstało z wody, pojawili się zaraz jego polemiści, przekonujący, iż: nie z wody, ale z ognia (Heraklit), z powietrza (Anaksymenes), z bezkresu (Anaksymander). Wkrótce wszystkich ich pogodził Empedokles koncepcją czterech żywiołów. Nie byłoby tej wspaniałej syntezy, gdyby wcześniej nie odbyło się tamto wspaniałe zmaganie na racje. Podobnie Kartezjusz pogodził materializm z idealizmem, tworząc dualistyczną wizję człowieka, jako złożenia w jedno *res extensa* i *res cogitans*. Z tego wynika, że filozofowie – z myślą

o filozofii, a nie o osobistym sukcesie – powinni szanować swoich przeciwników i oponentów. Nie tylko ich uważnie wysłuchiwać, ale wprost „nosić ich na rękach”. To oni bowiem, nie dość, że fundują nam za darmo wnikliwą krytykę błędów i braków naszego stanowiska, to jeszcze włączają je w powszechny obieg myśli. Winniśmy więc kochać naszych krytyków, nawet tych najmniej sprawiedliwych!

2.

Taki cud uważnej, wnikliwej i niezmiernie przyjaznej krytyki cudzego, oryginalnego myślenia zdarzył się podczas debaty nad książką Grażyny Żurkowskiej, która swoją pracę poświęciła zgłębieniu mało znanej na polskim gruncie koncepcji Profesora Jana Srzednickiego, Polaka z pochodzenia, ale od dziesiątków lat obywatela Australii. Sam pomysł, by zająć się studiowaniem prac myśliciela „osobnego”, nienależącego do żadnej z panujących szkół (czy też raczej mód) filozoficznych, mógłby się wydać ryzykowny komuś przywykłemu do stereotypu bezpiecznego komentowania klasyków. Tym bardziej, iż Jan Srzednicki, jak każdy twórca naprawdę oryginalny, nie dba specjalnie ani o klarowność, ani o spójność własnego pomysłu. Mieści się to zresztą w paradygmacie wszelkiej heurystyki: jedna z metod owej nauki o twórczości, *brainstorming*, zaleca wręcz, by w pierwszym etapie szturmowania trudnego problemu dopuścić a nawet sprowokować bezładną „burzę mózgów”, zostawiając na potem segregowanie, testowanie i porządkowanie najbardziej nawet zwariowanych pomysłów rozwiązania nowego problemu, to jest takiego, do którego nie pasuje żaden ze znanych dotąd algorytmów. Po burzy przychodzi roz pogodzenie, a wraz z nim – pora na spokojną refleksję, rozejrzenie się, co w jej trakcie uległo połamaniu i zdruzgotaniu, co natomiast – odświeżeniu. Najtrudniejszym elementem w myśleniu jest bowiem łamanie schematów i stereotypów: żeby dać się narodzić nowej idei, trzeba w pierw skruszyć gorset, w jakim zastygła „idea panująca”. Aby podjąć się takiego wysiłku, trzeba być doprawdy „szaleńcem bożym”, buntownikiem niełękającym się zarzutu nieortodoksji. Ale nie mniejszej odwagi potrzeba też dla pierwszego apostoła, który pójdzie za Mistrzem, głosić jego wielkość i wyklądać jego naukę. Musi on też posiadać intuicję wielkości i oryginalności cudzej myśli, jak również dar ryzyka, że wykladając ją „niewiernym” nie skaże się na ośmieszenie.

3.

Grażyna Żurkowska wraz z Janem Szrednickim stworzyli taki wzorcowy wręcz twórczy duet. Swoją pracę, porządkującą „rozwichrzoną” nieco myśl Profesora, poświęciła ona nie jedynie rekonstrukcji jej wewnętrznego *implicite* przez nią założonego ładu, ale także – naniesieniu jej na mapę najważniejszych współczesnych sporów filozoficznych. Dzięki temu udało im się wspólnie „odkryć Amerykę”. Jak wiadomo, zasługą Kolumba było nie jedynie natknięcie się na *nieznany* ląd i nadanie mu imienia, ale – przyłączenie go do *znanego* ówczesnie świata, naniesienie go na jego mapę. Dopiero dzięki temu stał się on jego mentalną częścią (jakkolwiek faktycznie Ameryka istniała co najmniej równie długo jak Europa, ojczyzna odkrywcy. Na tym jednak nie można było poprzestać – trzeba było Kolumba „poprawić”, co zresztą nie całkiem się udało, jako że rodowici mieszkańcy Nowego Łądu do dziś zwą się... Indianami. Tak więc odkrywca odkrywa najistotniejszą może, ale tylko *część* prawdy, reszta pracy pozostaje do wykonania jego komentatorom i następcom. Ważne jest przy tym, by w ogóle *odkryć odkrywcę*, to jest – uświadomić innym, iż dokonał jakiegoś znaczącego dla wszystkich *odstąpienia* nowych horyzontów. I uczynić to tak przekonująco, żeby inni nie mieli wątpliwości.

Do tego celu niezbędne jest też powiadomienie i zainteresowanie owych innych, że oto wydarzyło się w filozofii coś ważnego, istotnego, wartego zainteresowania i uwagi.

Nie mniejszą zasługą niż zrekonstruowanie czyjejś odkrywczej idei stanowi zorganizowanie odpowiedniego forum, na którym można i warto ją zaprezentować. Przypada ona Profesor Alinie Motyckiej, Kierownikowi Zakładu Teorii Poznania PAN, która zaproponowała i zachęciła Autorkę, dr Grażynę Żurkowską do przedstawienia wyniku swoich dociekań w trakcie debaty, która odbyła się 18 maja 2007 roku. Liczne grono filozofów (nie tylko epistemologów) z wielu ośrodków akademickich otrzymywało przez prawie rok regularnie co miesiąc zaproszenia i przypomnienia. Traktowaliśmy to jako przejaw niezwyklej troski o przebieg spotkania, a także – jako dowód niezbędności na niej każdego z nas. Jest to zresztą stałym zwyczajem Pani Profesor, która od kilku lat urządza takowe debaty pod koniec roku akademickiego. Nie wiem, czy gdziekolwiek indziej i ktokolwiek inny potrafi się odnieść z takim szacunkiem i pieczołowitością do dorobku zazwyczaj mniej utytułowanych kolegów. Zresztą po odbyciu dyskusji, treść przygotowanych wcześniej, jak również spontanicznych wystąpień jest potem dokumentowana w postaci odrębnej książki lub bloku materiałów w czołowych polskich czasopismach filozoficznych. Mam okazję podziękować Profesor Alinie Motyckiej nie tylko we własnym, jak sądzę, imieniu za troskę o to, aby nasze publikacje nie zatoneły w morzu innych. Nie jestem pewna, na ile świadomie nie szczędzi Ona swego czasu na integrowanie dość roz-

proszonemu (przynajmniej pod względem zainteresowań) polskiego środowiska filozoficznego. Choć mało widoczna (i niewpisująca do żadnych rubryk sprawozdawczych) praca taka jest ogromnie potrzebna i cenna. Na corocznych debatach, podobnie zresztą jak w trakcie comiesięcznych spotkań seminaryjnych, stykają się z sobą i poznają osoby, które niejednokrotnie wcześniej nawet nie wiedziały o swoim istnieniu, nie mówiąc o poglądach i naukowym dorobku.

Nie bez znaczenia jest i to, że jadąc kilka godzin pociągiem z Lublina, Olsztyna, Poznania czy Rzeszowa, ludzie mają możliwość zwyczajnie porozmawiać z sobą, o co tak ciężko w naszych zagonionych czasach.

Debata nad *Epistemologią po Wittgensteinie* zgromadziła wyjątkowo wiele osób, nie tylko zresztą epistemologów. Prawdopodobnie dodatkowym „wabiakiem” była zapowiedziana obecność samego bohatera książki Grażyny Żurkowskiej, który wraz z małżonką przybył na tę okoliczność z Australii. Usadowiony przy osobnym, specjalnym stoliku, przykuwał uwagę swoją imponującą sylwetką, żywą gestykulacją i mimiką – typ szlachcica z siedemnastowiecznych portretów.

Rozmowę na temat *metafizyki poznania* poprzedziła krótkim wstępem Profesor A. Motycka, podkreślając, iż jak zwykle, przygotowane wystąpienia panelistów mają charakter autorski, nienarzucony, każdy mógł wybrać sobie dowolny wątek i aspekt zasygnalizowanej w książce kwestii. Następnie Autorka, dr Grażyna Żurkowska przedstawiła swoje własne rozumienie głównej idei Profesora Srzednickiego, przenikającej całą Jego dotychczasową twórczość. Wyszła przy tym daleko poza tekst samej książki. Słuchając tego wykładu miało się wrażenie, iż ujmuje on w wyraziste i piękne ramy istotną treść filozoficznych dokonań Profesora. Taką ramą, w jej przekonaniu, jawi się *transcendentalizm oddolny (subtranscendentalizm)* jako oryginalne przeciwstawienie (czy też dopełnienie) Kantowskiego *transcendentalizmu odgórnego*. Za kluczową kategorię J. Srzednickiego uznała *Pre-Ego*, które sytuuje się na pograniczu przedmiotowo-podmiotowym i wyraża się jako *Oporna Obecność Podmiotu*. Istotnym *novum* wobec wszelkich tradycyjnych epistemologii jest przeświadczenie, iż myśl prezentuje się – według J. Srzednickiego – w sposób nie językowy, co prowadzi też do modyfikacji klasycznej teorii prawdy. Prawdą mianowicie jest „rezonans z tym co obecne”. Konkluzja ta koresponduje z podstawowym kłopotem, który spowodował całe teoretyczne przedsięwzięcie myśliciela – mianowicie z chęcią przewyciężenia sceptycyzmu.

Warto dodać, że zaproponowana przez niego kategoria *Pre-Ego* daje się umieścić w pewnym, już istniejącym nurcie: jest pokrewna temu, co socjologia wiedzy nazywa *przedwiedzą, oporem myślowym*, a być może również Jungowskim *archetypem*, które od dłuższego już czasu stara się zaaplikować w teorii nauki Alina Motycka. Nie byłby to więc czysty zbieg okoliczności, że w jednym czasie i miejscu spotkały się osoby rozumujące na temat *metafizyki poznania*

w podobnym duchu? A może to właśnie sam *duch czasu* zetknął nas razem w Pałacu Staszica i usadowił naprzeciwko jego popiersia.

Jako pierwszy z panelistów wystąpił dr Maciej Chlewicki z Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy, eksponując i omawiając wątek sceptycyzmu, który jest „winny” podniesieniu kwestii trudności udowodnienia, iż świat istnieje poza umysłem. Choć, jak sam prelegent żartował, jest to problem śmieszny dla „normalnych” ludzi (i niektórych studentów filozofii), przecież od niedawna na nowo uzyskał rangę fundamentalną z związku z fenomenem *rzeczywistości wirtualnej*. Niebywała popularność filmu „Matrix” pokazuje, iż jego widzowie w gruncie rzeczy cierpią w podobny sposób co Kartezjusz, podejrzewający istnienie Demona Żłudziciela, który może nas celowo wprowadzać w błąd, że to, co naiwnie uznajemy za realne, stanowi jedynie fikcje złośliwie wywoływane w naszych umysłach. Lektura tabloidów w rodzaju „Faktu”, pełnych osobliwych „faktów prasowych”, to jest informacji celowo zmyślanych po to, by były brane za prawdziwe, czyni – o paradoksie! – ich odbiorców potencjalnymi filozofami, uczniami J. Szrednickiego, mogącego oferować im – i nam wszystkim – specyficzne zabezpieczenie przed takowymi manipulacjami. Życzyć by należało głównie politykom „kreującym” takowe „fakty niedokonane”, aby rzetelnie przestudiowali koncepcję „onto-odporności” – ale to już tylko moje skojarzenia z kwestią sceptycyzmu.

Prof. dr hab. Józef Dębowski, z Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie (za którym przyjechało spore grono jego pracowników, w tym też Prof. dr hab. Halina Romanowska-Łakomy), w pierwszym słowie oddał szacunek obojgu głównym postaciom spotkania: J. Szrednickiemu i G. Żurkowskiej, uznając, iż ta druga przyswoiła filozofii polskiej tego pierwszego. Znacznie dłuższa lista ich zasług zapewne będzie pomieszczona w drukowanym tekście, pozostaje mi zatem zachwycić się stylem i tonem wypowiedzi mojego dawnego kolegi z UMCS, który wyemigrował na północ i tam upowszechnia (może nawet nie zdając sobie z tego sprawy) specyficzną szkołę – a jednak! – „sentymentalizmu lubelskiego”. Dla niewtajemniczonych: polega ona na życzliwości i kurtuazji, dzięki której osoba krytykowana najpierw otrzymuje bandaż, którym natchmiast będzie mogła sobie opatrzeć drobne ukłucie. Albowiem J. Dębowski, odkrywając zbieżność koncepcji J. Szrednickiego z Husserlowską ideą autonomicznej teorii poznania, wytknął Profesorowi jako błąd pomysł ukonstytuowania poznania na tym, co... niepoznawalne.

Kolejny mówca, dr Zbigniew Król z IFiS PAN, także rozpoczął od zachwy-
tów, określając koncepcję Szrednickiego jako „nową i istotną analizę”, „zaskaku-
jącą i pasjonującą intelektualnie” z naczelną tezą, iż „poznanie nie może być
sędzią w swojej sprawie”. Spointował rzecz sentencją „o czym nie można my-
śleć, o tym należy myśleć”, albowiem „język transcenduje sam siebie”.

Prof. dr hab. Andrzej L. Zachariasz, twórca studiów filozoficznych na Uni-
wersytecie Rzeszowskim, porównał J. Szrednickiego do samego Arystotelesa,

bo tak jak jego starogrecki poprzednik nie waha się zmagać z fundamentalnymi problemami, podczas gdy większość współczesnych filozofów pogrąża się w analizach lingwistycznych, co jest niejako wyrazem nawiązania do scholastyki, a zarazem ucieczką od rzeczywistości, od rzeczy samych.

Za wielką zasługę G. Żurkowskiej poczytał fakt, iż „przybliżyła Polsce polskiego filozofa”, w dodatku pokazując jego twórczość w kontekście filozofów europejskich, takich jak Kant czy Husserl, dla których J. Szrednicki jest równorzędnym partnerem. Docenił także to, iż książka G. Żurkowskiej rozpatruje „odolny transcendentalizm” kolejno w dwóch perspektywach: w pierw historycznej, a następnie – teoretycznej.

Po wysłuchaniu głosów panelistów Profesor Szrednicki niecierpliwie pragnął im odpowiedzieć, niestety Gospodyni, Prof. Alina Motycka skazała go z kolei na wysłuchanie głosów z sali. Było ich niezwykle dużo, rozpoczął ich korowód Prof. dr hab. Maciej Soin polemiką w kwestii rozumienia L. Wittgensteina. Potem już tylko nagranie magnetofonowe mogłoby odtworzyć temperaturę dyskusji, w której niezwykle aktywnie udzielali się panowie z Rzeszowa: dr Krzysztof Kilian, dr Włodzimierz Zięba, jak też „silna grupa” filozoficznej młodzieży z Lublina, m.in. dr Jarosław Sak.

Nie jest moim głównym zamiarem merytoryczne streszczenie owej autentycznej debaty. W zamian chciałabym skupić się na jej tonie i ogólnej atmosferze, która wydała mi się niepowtarzalna.

4.

Wyjątkowość owej atmosfery została, jak sędzę, wywołana osobowością i postawą dwóch Pań: Prof. Aliny Motyckiej, promieniującej spokojem i dostojnością, oraz dr Grażyny Żurkowskiej, emanującej – na odwrót – pasją, entuzjazmem i doskonałym wręcz panowaniem nad materią dyskusji. Rzecz oczywista, iż nie mogło się to obejść bez jej fascynacji myślą (a i chyba osobą) Profesora Szrednickiego, bez którego obecności całe wydarzenie utraciłoby ów wymiar, jaki uczynił go godnym nazwania „wzniosłym”.

Raz jeszcze spróbuję uchwycić jego osobliwość: spotkanie Mistrza z Uczennicą i jej kolegami (znanymi od dziesięcioleci oraz świeżo poznanymi) stało się prezentacją postawy autentycznej rewerencji wobec filozofa, który ma talent i odwagę myślenia „bez alibi”. W naszej „erze przypisów i obfitej bibliografii”, rodzącej pokusę chowania się za cudzymi plecami, ubezpieczania cudzą – najchętniej posiadającą „zachodni patent” – myślą, wystąpienie kogoś, kto od nowa przemyśliwa początki, musi być rewelacją.

Na naszych oczach został obalony jeden z „zabobonów” J. Bocheńskiego, wedle którego Polacy sami o sobie sądzą, iż nie posiadają własnego „języka

filozoficznego” i nie mają niczego do powiedzenia od siebie – światu. Ta fałszywa skromność skazuje nas w większości na pilne uczęszczanie do salonu „filozoficznych mód” i naśladowaniu ich oraz wytykaniu ich nieznamości mniej czytany spóźniałskim. W rezultacie wiele publikacji przypomina szkolne dzienniczki lektur.

Nie negując konieczności orientowania się w tym, co się pisze i czyta gdzie indziej, warto przypomnieć rzecz dla filozofowania podstawową: że namysłu, i to osobistego, imiennego, domagają się od nas *sprawy pierwsze oraz ostateczne*. Nade wszystko: *czy i jak istnieje świat*, którego wszak jesteśmy częścią, a zatem też *czy i jak istnieje ja sam*.

A przecież to odpowiedź na ostatnie pytanie przesądza o naszej życiowej postawie, o tym, czy uważamy się jedynie za ludzkie *fantomy*, zakładników jakiegoś *my*, czy też za samoistne, samoodowiedzialne przed sobą *ja*.

Debata w Pałacu Staszica pozwoliła nam samym, skołatany hałasem i agresywnością „myślenia ulicznego”, pocuć smak „myśli pałacowej”, takiej, której niespieszno do żadnych natychmiastowych „wdrożeń” czy „zastosowań”, albowiem napawa się ona swoim własnym dostojeństwem i powagą. A kto chciałby wykić te określenia, niech pamięta, że błazen bez kapłana jest tak samo samotny jak kapłan bez błazna...

PS Osobiście chciałabym obydwu Paniom i Panu Profesorowi J. Szredniczekiemu podziękować jeszcze za coś dodatkowego. Za to, że mimowolnie spowodowali spotkanie po wielu latach szerokiego grona filozofów z Lublina, moich Kolegów i Przyjaciół. Kiedyś nierozłączni, gorąco spierający się na tematy polityczne, społeczne i filozoficzne, walczący o sprawy, które wydały nam się całkowicie przegrane, potem rozproszeni po Polsce (a niektórzy też po całym świecie), zjechaliśmy się nareszcie w jedno Miejsce. I – ku własnemu zaskoczeniu – stwierdziliśmy (to konstatacja po wielu późniejszych rozmowach), że „tamto” w nas wszystkich przetrwało. „Tamto”, nieuchwytnie, co smakowało jak pierwsza młodość i jej wiara w przykazanie, iż „filozofowie dotąd tylko interpretowali świat. Idzie jednak o to, aby go zmieniać”. Dobrze jest pocuć, że rzeka heraklijska pozwala wejść do siebie po raz drugi i doznać, że coś się jednak ostało w zmienności – nasza przyjaźń. Dziękuję Wam za to – Grażyno, Stefanie, Andrzej, Józku, Aniu, Sabinko, Jarku, drugi, młodszy Andrzej i trzeci, jeszcze młodszy. Wszyscy kłaniamy się nisko Pani Profesor Motyckiej, która nas przyhołubiła do swojego autentycznego Salonu Filozoficznego.